

II/803

Moje nazwisko panięskie Jadwiga Moczulska, urodziłam się 16.12.1924 r. Jestem pochodzenia robotniczego, przed wojną mieszkałam na Białorusi. Mieszkałam z rodzicami, a znalazłam się na kresach wschodnich, ponieważ mój tatuś przed 1918 rokiem pracował w Rosji i podczas rewolucji w 1917 uciekł stamtąd i zamieszkał na terenach Białoruskich. Gdy ojciec zmarł w 1930 roku, zostałam tylko z mamą i siostrą. Pracowałyśmy na siebie, a mamusia musiała wyjechać za granicę, bo gdy tatuś zmarł nie miałyśmy środków do życia. Po powrocie z emigracji zamieszkałyśmy razem w miasteczku Widze, w powiecie Brasiaw. Mamusia pracowała prywatnie w restauracji jako kucharka. Nastąpił 1939 rok, Rosjanie weszli na nasz teren. Od tej pory nasze życie się zmieniło, pomimo że mamusia nadal pracowała w restauracji rosyjskiego kasyna oficerskiego, myśmy z siostrą zostały bez pracy. Bardzo często byłyśmy zatrzymywane przez Rosjan. Mieszkałyśmy w jednorodzinnym domku i gdy mamusi nie było w domu przychodziła do nas młodzież i wymyślaliśmy takie zabawy, nabijaliśmy się z Rosjan. Dlatego zostałyśmy zatrzymane i osadzone w areszcie. Mamusia miała duże kłopoty, bo musiała nas stamtąd wydostawać. Kiedyś aresztowano księdza proboszcza naszej parafii. Wszyscy parafianie starali się żeby wypuszczono księdza, zrobili taką listę, na której składaliśmy podpisy, wysłaliśmy tę do NKWD. Po niedługim czasie przyjechali uzbrojeni Rosjanie późnym wieczorem do naszego domu i kazali nam się pakować. Było to w 1940 roku, około wiosny. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, mogliśmy zabrać tylko najbardziej potrzebne rzeczy osobiste. - "Potem sobie wrócicie" - powiedzieli nam. Pakowałyśmy się w strachu, popłochu, szybko załadowali nas na wóz i zawieźli do miasteczka Irzegór, do punktu zbiorczego, gdzie było wielu Polaków, których nie znałyśmy. Po jakimś czasie załadowali nas do wagonu, gdzie były tylko drewniane prycze i żelazne piecyki. Było bardzo ciasno, tłok. Nikt nic nie wiedział o co chodzi i co będzie z nami. Jechaliśmy bardzo długo, dostawaliśmy mały, skromny posiłek. Wysadzili nas w Archangielsku i rozwieźli samochodami po obozach. Teraz dopiero wie-

dzieliśmy, że zostaliśmy wywiezieni do obozu pracy, ponieważ nie było żadnych miast czy wiosek tylko lasy i łągi. Po podróży mieliśmy wszy, pluskwy, bo przez całą drogę nie myliłyśmy się. Kiedy osiedlili nas w tych łągach nikogo żeśmy nie znali, ponieważ wszyscy z transportu byli porozdzielani W każdym razie nie było kontaktu z towarzyszami podróży, a tutaj nikt o nas nic nie wiedział. Po podróży poobcinali nam nasze długie warkoczki i wrzucili pod wagon. Płakałyśmy bardzo, ale nie można było nic zrobić. Mieszkaliśmy w bardzo trudnych warunkach, spaliśmy na drewnianych pryzkach, nie było żadnego pościelenia i co kto miał podkładał sobie pod głowę. Dostaliśmy plecione z trzciny kierzki - oni nazywali je "łapcie". Nogi owijałyśmy szmatami, zakładałyśmy te kierzki i mocowałyśmy to wszystko sznurkami. W zimie było bardzo zimno, mróz był okropny, w śniegu toniłyśmy po pas. Zamrożnięte były oczy i cała twarz. Usuwaliśmy szron z twarzy, gdy wracałyśmy po ciężkiej pracy w lesie, z wyrębu drzewa do bardzo zimnych baraków. W tych ciuchach, w których chodziliśmy kładliśmy się spać. Trudno było z jedzeniem, które było skromne i pośne a przy pracy pilnowały nas strażnicy, żebyśmy się nie ociążały. W lesie musieliśmy piłować drzewo ręcznymi piłami. Tak pracowaliśmy kilka lat i kiedy powstało wojsko polskie Andersa powiedzieli nam, że możemy opuścić łągi i osiedlić się tam, gdzie chcemy, ale nie dali nam żadnej pomocy. My byłyśmy tylko trzy kobiety, siostra miała 17 lat, ja 16 a mama była w młodym wieku, więc chciałyśmy odjechać. Wielu z nas, małe dzieci pomierały z głodu i zimna. Wyjechałyśmy z nieznanymi ludźmi i zostałyśmy w Baszfilii (Republika Baszfilii), w małym ~~ma~~ miasteczku Rajewka. Tam kazali nam szukać sobie pracy i mieszkania. Nie miałyśmy ze sobą nic ani pościeli, ani osobistych rzeczy. Prosiłyśmy ludzi, żeby nas przyjęli na mieszkanie i znalazłyśmy taką starszą Rosjankę, która miała w ogrodzie mały domek, lepiankę z gliny, ze słomianym dachem. Ona pozwoliła nam tam zamieszkać. Byłyśmy szczęśliwe, że możemy tam zamieszkać, ale nie miałyśmy co jeść. Nie miałyśmy też z czego żyć, więc zaczęłam szukać pracy. Dostałam pracę na kolei, gdzie musiałam wyładowywać z wagonów zmarznięty węgiel. Sama jedna rąbałam go kilofem a że byłam bardzo głodna, brałam



normalną czarną smołę i żułam ją, żeby nasycić się śliną. Po kilku dniach dostaliśmy talony na zupę, która była z pokrzywy lub z lebiody. Dziennie przypadała jedna porcja tej strawy. Gdy wracałam z pracy po wyładowaniu wagonu, podczas lata wychodziłyśmy w pole szukać jakiś korzeni, trawy, szczawiu. Byłyśmy tak strasznie wycieńczone, że przez sześć lat nie miałyśmy okresu. Gdy zbierałyśmy korzenie czy zmarznięte ziemniaki na polu, Rosjanie wyzywali nas brzydko. Te zmarznięte ziemniaki kładłyśmy na podgrzaną płytkę, a mama gotowała wodę i wrzucała szczaw bez soli i przypraw. Gdy zjadłyśmy ten posiłek, wychodziłyśmy z powrotem do pracy, do wyładowywania wagonów. Mama nie mogła pójść do pracy, więc zamykałyśmy ją w domu na kłódkę. Gdy poznałyśmy paru Rosjan to mama zaczęła przęść wełnę, którą oni przynosili. Robiłyśmy z tej wełny chustki dla Rosjank. Czasami przynosiły nam trochę jedzenia, bo to, co zarobiłyśmy z siostrą na kolei wystarczyło na 16 kilogramów kartofli miesięcznie. Na Święta Wielkanocne mama ugotowała nam po trzy ziemniaki w obierkach. Najpierw zjadłyśmy obrane ziemniaki, potem obierki i wyszłyśmy do ciężkiej pracy. Na kolei pracowałam dwa lata i wtedy zorganizował się Komitet Polski, który przysyłał nam zapomogi, dostawialiśmy groch, kaszę, nieraz mleko w proszku. W naszym miasteczku p. Sieczkowa, żona przedwojennego policjanta otworzyła taki punkt, z którego dostawialiśmy zapomogę, mogliśmy tam spotkać Polaków, porozmawiać ze sobą i mieliśmy nadzieję, że odzyskamy kiedyś wolność. Kiedyś pokazali nam film o powstaniu Wojska Polskiego i gdy był śpiewany hymn "Jeszcze Polska nie zginęła..." zaczęłyśmy tak strasznie płakać i krzyczeć, że musieli nas wyprowadzić. Zawsze starałam się pracować sumiennie i kierownik zaproponował mi kurs pomocnika maszynisty. Uczyłam się pilnie, ukończyłam kurs i jeździłam lokomotywą. Praca dalej była bardzo ciężka, ale dostałam dodatkowy talon na zupę. W tym czasie utrzymywanie domu było na moich barkach, bo siostra była taka słaba i nie mogła pracować. Wojna właśnie się kończyła, ale my nie mogliśmy wrócić do Polski, ponieważ nie miałyśmy żadnych dokumentów. Jeszcze kiedy byliśmy na Wileńszczyźnie zabrali nam polskie paszporty a wydali rosyjskie. Przez

cały czas posługiwaliśmy się rosyjskim dowodem i nie chcieli nam uwierzyć, że jesteśmy Polakami. Szczęśliwie jednak zachowała się moja metryka chrztu kościelnego z 1924 roku i to było wystarczającym dowodem. Jechaliśmy do Polski transportem cały miesiąc, podróż była o wiele lepsza, bo dawali nam jedzenie. Granicę przekraczaliśmy w Rawie Ruskiej k. Lwowa. Pociąg zatrzymał się w tym mieście, mieliśmy spotkanie z księdzem, który poznał nasz wagon po chorągwiach. Prosililiśmy go aby nas wpuścił do Kościoła przez tyle lat nie spowiadaliśmy się i nie widzieliśmy księdza. Zaproponowałam, że nas wpuści, ale prosił, żebyśmy zachowywali się spokojnie. Nikt tego jednak nie zrobił, bo po otwarciu Kościoła wszyscy padli krzyżem na posadzkę i rozległ się jeden płacz. Ksiądz nie mógł na to patrzeć i szybko uciekł. Dał nam pamiątki ze Lwowa i powiedział, że spotkamy się na zachodzie. Na granicy była ścisła rewizja i gdy wagon podjeżdżał do granicy rozbierali nas do naga, zabierali wszystkie zaświadczenia z pracy, dali nam tylko dowody. Gdy znaleźliśmy się na polskiej ziemi, wyszło z lasu nasze wojsko, zagrała orkiestra. My wypadliśmy z pociągu, padliśmy na ziemię, całowaliśmy drzewa, wrywaliśmy żołnierzom guziki od mundurów. Żołnierze nakarmili nas kawą i chlebem, nocowaliśmy w lesie, ponieważ nie można było jechać w nocy, bo napadali Ukraińcy mordowali i rabowali. Jechaliśmy tylko w dzień, było z nami wielu Żydów, którzy pojechali do Wałbrzycha, a my wróciliśmy do Lublina Legnickiego i osiedliśmy się na zachodzie. Ani przed, ani po wojnie nie należałyśmy do żadnej partii. Nie wiem o czym mogę jeszcze opowiedzieć? W moim miasteczku rodzinnym mieszkało wielu Rosjan, Białorusinów i Litwinów również Żydów, tak że było to miasteczko międzynarodowe. Żyliśmy jednak w wielkiej zgodzie, chodziliśmy razem do szkoły, ja miałam serdeczną koleżankę, Rosjankę, córkę Popa. Przed naszym domem znajdowała się cerkiew rosyjska. Sytuacja zmieniła się, gdy Rosjanie wstąpili. Wtedy nasze rosyjskie rodziny odwróciły się od nas i trzymali stronę Rosjan. Nie chciałyśmy się z nimi spotykać, bo podsłuchiwali nasze rozmowy i skarżyli do UB. Dlatego tak wielu Polaków wyjechało na Sybir, bo nie



było żadnego sądu ,przesłuchań.Wystarczyło, że Rosjanin doniósł na Polaka i ten od razu był aresztowany przez UB,a potem wywieziony gdzie im się podobało.Przed nami wywieźli wiele rodzin,a ci,którzy zostali nie wiedzieli gdzie oni się znajdują.Ludzie byli zabierani przeważnie nocą, przeważały rodziny policjantów,leśników i bogatych .Rodzina Popa również została wywieziona.Nas zabrali tylko dlatego,żem mamusia podpisała prośbę o uwolnienie księdza.Nie popełniłyśmy żadnego przestępstwa,moja rodzina to były trzy kobiety,które bały się wszystkiego.Wszyscy Polacy z mojego miasteczka zostali wysiedleni.Teraz po wojnie,gdy odwiedziłam tamte strony,nie spotkałam żadnego rodaka,tylko Rosjan.Nieliczni Polacy ,którzy zostali,wyemigrowali po wojnie na zachód.Do kiedy byliśmy w Archangielsku nie miałyśmy żadnych informacji,nie docierały żadne paczki.Gdy wróciłyśmy do Baszkilii,spotkałyśmy p. Sieczko,która wystarała się o kontakt z UNR-ą.Dzięki niemu dostawaliśmy zapomogi, mleko w proszku,makę,cukier-były one równo rozdzielane.Nie pamiętam ilu było Polaków,ale około pięćdziesięciu.Podczas transportu dostawaliśmy też dużo szodyczy,makaronu-w wagonie mieliśmy taki piecyk żelazny,na którym gotowaliśmy posiłki.Przez miesiąc podróży nabraliśmy trochę się i zdrowia-kobiety nawet dostały okresy.Po wyzwoleniu naszego terenu od Niemców napisałam do swojej rodziny i dostałam odpowiedź,ale wrócić tam nie mogłam,bo to nie była już Polska tylko tereny rosyjskie.

W Archangielsku musiałam wcześnie wstawać,warunki zależały od straży-niektórzy współczuli nam i podpowiadali jak mamy się zachowywać,od niektórych dostawaliśmy,to zależało od charakteru żołnierzy.W Baszkilii starsze rodziny rosyjskie też nam pomagały,rozumiały naszą sytuację,ale sami też głodowali.Mimo to nie odrzucali nas ,nie potępiali.Wśród ludzi panowała ogromna śmiertelność.W zimie zwłoki były zakopywane w śniegu i gdy przychodził czas roztopów resztki ciała spływały z wodą. Natomiast w lecie ciała zmarłych zawijano w płótno i zakopywało się w ziemi,czasami ktoś postawił brzozy krzyż.Nie było również oddzielnych miejsc,

cmentarzy, ludzie byli zakopywani tam, gdzie pracowali. Gdy wkroczyli Rosjanie musieliśmy złożyć nasze dowody osobiste i dostaliśmy rosyjskie paszporty z ich godłem. Potem otrzymaliśmy zaświadczenia, na których nie było napisane jakiej jesteśmy narodowości - było tam tylko imię i nazwisko, data urodzenia. Dlatego tak trudno było udowodnić, że jesteśmy Polakami. Po tylu latach mówiliśmy bardzo dobrze po rosyjsku, a języka polskiego nie słyszeliśmy aż do powstania tego koła. Nie wolno było rozmawiać między sobą po polsku. Nas uratowała metryka chrztu kościelnego, na której było godło polskie i nazwisko księdza. Bez tego dokumentu nie wyjechałybyśmy stamtąd. Mowa polska nie była dla nich żadnym dowodem, a wszystkie inne zniszczyli, żeby nie został żaden ślad po wywiezionych na Sybir. W 1939, gdy Rosjanie wkroczyli do naszego miasteczka, my mieszkaliśmy w domku parterowym, więc łatwo im było podsłuchiwać o czym się w domu mówiło. Na naszej ulicy znajdował się rosyjski sztab wojskowy, a my młodzi krzyczeliśmy "kołchoz" i wtedy nas aresztowali. Takie aresztowania odbyły się kilkakrotnie, w końcu nas wypuszczali i byliśmy już podejrzani. Rosyjscy koledzy namawiali nas, żebyśmy zapisali się do Komsomołu, ale my chodziliśmy do Kościoła i odmówiliśmy. Kiedy Rosjanie wkroczyli do Polski my byliśmy u cioci, przy młóceniu zboża i widzieliśmy pojedynczych, polskich, głodnych żołnierzy, którzy prosili o jedzenie. Byli bardzo brudni, mieli oberwane płaszcze i czapki z pomponami. Rosyjscy żołnierze przyjeżdżali ze swoimi rodzinami i zabierali budynki. 20.01.1940 roku miał miejsce pierwszy transport - byli tam przeważnie bogaci ludzie. Na Syberii zachorowałam na malarię, byłam konająca, ale znalazła się rosyjska rodzina, która z litości przyniosła mi kubek denaturatu do wypicia. Po tym zabiegu polepszyło mi się, ale gdy pracowałam na kolei poparzyłam się sodą kaustyczną. Miałam poparzone ręce i twarz - rany goiły się bardzo powoli a warunki w szpitalu były bardzo ciężkie, szczególnie dla Polaków. Od charakteru pielęgniarek zależało czy udzieliły pomocy, czy nie. Nie miałam pieniędzy na powrót ze szpitala i musiałam jechać



na dach wagonu, przed moją stacją bałam się, że mnie złapią i skakałam w biegu. Teraz nawet się nie chce o tym myśleć, bo te wspomnienia wzruszają człowieka. Całą swoją młodość zmarnowałam na Syberii, sześć pięknych lat. Dla was jest to historia, dla nas ból i wielkie przeżycie. Trudno jest to przekazać. Mam na Litwie rodzinę, napisałam do nich, że chciałabym zobaczyć te swoje tereny. Pojechałam do Wilna, widziałam Ostrą Bramę, domki przypominały mi moje dzieciństwo. Do mojego miasteczka pojechałam autokarem i gdy zobaczyłam wieżę kościoła, zaczęłam płakać. Rodzina zaczęła mnie pocieszać, że wszystko zostało takie samo. Gdy zobaczyłam swój dom, nie mogłam wejść do środka, w ogrodzie całowałam wszystkie drzewa, które kiedyś z mamusią posadziłyśmy i bardzo płakałam. Przywiozłam sobie kamyczek i trochę ziemi na pamiątkę. Byłam także na grobie ojca. Moje miasteczko wyglądało strasznie-wszystkie chodniki zniszczone, ludzie biednie ubrani, zburzone budowle, puste sklepy, na środku placu pomnik Lenina. Kościół zamknięty był na kłódkę. Byłam także na wsi u wujka, tam odwiedziłam groby dziadków. Moim największym przeżyciem był wyjazd przez granicę radziecką. Jechałam w przedziale sypialnym i rewizja była bardzo dokładna. Gdy pociąg przejeżdżał, żołnierze stali z bronią w ręku co dwa metry, jakby w pociągu jechali przestępcy lub złodzieje. Kiedy byłam w Wilnie w domu mojej rodziny, każdego dnia przychodziła milicja sprawdzić czy nigdzie nie wyjechałam. Nie mogłam opuścić tego terenu, na którym byłam zameldowana. I dlatego powiedziałam, że już nigdy tam nie pojedę. Na granicy Rosjanie sadzali nas na takie elektryczne krzesło, żeby sprawdzić czy nie przewozimy złota. Kiedy ja na nie usiadłam okazało się, że mam złoto, ale ja nic nie przewoziłam. Sprawdzali mnie kilka razy i dopiero nieznajoma pani powiedziała, że może mam coś metalowego. Okazało się, że miałam metalowe zapinki, takie jak agrafka przy biustonoszu i kiedy to się wyjaśniło puścili mnie. Tą kontrolę przeżyłam strasznie.

© ARCHIWUM WSCHODNIE